Rozmaitości

Dnia 7. Sierpnia   Ner. 32.   Roku 1841.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA

(Dokończenie.)

Byłoto w czasie zapust, zwaliste śniegi pokrywały ziemię, mróz się sadził, gonty strzelały na dachu, lekkim szronem ku słońcu iskrzyło się powietrze, okiść była na wysokim lesie, i ciemne bory sosnowe mierzchły po nad Wisłą. W godzinie po zachodzie słońca, zerwał się wicher z północy gwałtowny i nagły, miótł śniegiem, kręcił młyńcem i odwalał zaspy. Od rana był dnia tego w jednéj z piérwszych oberzy w Tarnowie wielki ruch i gwar. Kilka pań podróżnych robiło sprawunki, faktory latały od świtu, żydy z towarami snuły się jak ćma. Po stołach leżały rozłożone: stroiki, toczki i girlandy z kwiatów robionych, wstążki, pachnidła, suknie i trzewiki balowe. Jedne pudła odebrano z poczty, drugie przyniosła modniarka, trzecie krawiec, czwarte cukiernik. Pań było trzy: dwie młode a trzecia bardzo poczciwa, ale już nie bardzo młoda ciocia, która dla powagi czepeczek miała, i lubo także panną jeszcze była, bez niebezpieczeństwa jednak dwom młodszym matkować mogła. Helusia zwała się najmłodsza, Karusia starsza, a trzecią nazywano kochaną ciotunią. Jędrzéj służący był od rana w wielkim frasunku, bo latał, pakował, kupował, i nie mógł się nigdy reszty dorachować; więc napił trochę na fantazyją i wytrącał za drzwi żydów z wielkim ferworem. Spocił się, choć mróz przyciskał i żarł się z fraucymerem pań swoich. Rano miały wyjeżdzać, ale jak poczęto sobie przypominać i odczytywać notatki sąsiadek, przyjaciółek, kuzynek; więc zawsze jeszcze czegoś brakowało.

»Niech dla nas nic nie robią« mówiła ciocia, »bo wyjedziem jeszcze przed obiadem«, ale i czas obiadu minął i na prędce przyrządzone kotlety zdały się dobrze z południa, a panie nie wyjeżdzały jeszcze. W końcu wyprawiał już sam faktor nawet mówiąc: »Niech panie jadą, bo to pięć mil i mróz wielki.« — Dwoje sani zaszło, jedne kryte i duże, drugie otwarte i mniejsze, tamte czwórką z krakowiakiem, te parą poczciwych fornalów. Szczęściem, że nie były kryte, bo na babilońską wieżę zawiniątek, tłumoków, paczek, pudeł i pudełek nie brakło miejsca, przynajmniej ku górze. Na téj barykadzie siedziała panna służąca i garderobiana. Kiedy już z oberzy wyruszyli, pokazało się jeszcze, że rzeczy na drugich saniach były nienajlepiéj spakowane; więc kupuj powrozy, sznuruj, burtuj, a tu zimno, panna wyrzeka, garderobiana płacze, panie niecierpliwią się, Jędrzéj klnie, a faktor i stróż z oberzy pomaga pakować. — Wyjechali i jadą. Jędrzéj na piérwszych saniach; panie krzyczą: »Jedź! konie dobre«, więc pędzą i upędzili mil dwie.

»Biédna Majesia!« rzekła Helenka, tak otulona w futrach i szatach, że jéj zaledwie oczy widać było. »Biédna Majesia! ona tam z-ziębnie na tych otwartych saniach; a obejrzyj się Jędrzeju, czy jadą?«

Jędrzéj obejrzał się, lecz jak okiem zajrzeć, nie widać nikogo.

Fornal pewnie zmylił drogę, bo to nieświadomy, obcy człowiek w téj stronie; więc czekaj! Czekają — zmiérzchać się poczyna,

mróz się wzmaga, wiatr się zrywa, zawierucha; więc wyprzęgaj konia, szukaj sani i pudełek. Jędrzéj klnie, koń nie chce odejść od koni, więc bierz drugiego, i jedź. Pojechał, szuka, spotyka fury, odpytał; przy karczmie stoją sanie, dwa pudła zginęły —; żyd jadący za niémi drogą, znalazł je i chce znaleźnego — panna nie ma ani grosza przy sobie. Wielki rozhowor przy karczmie: podróżni ludzie przypatrują się zwadzie o pudła i znaleźne, ale nikt się nie ujmuje za słabszym. — Gdyby bohatér wpadł Jędrzéj na ten rozgardyjasz, wybił żydów, złajał fornale i fraucymer, odebrał pudła, a szarpiąc się z żydami, rozsiał bukiety i wstążki po śniegu. Zebrał je potém sumiennie garścią, że Majesia ledwo nie zemdlała, przyburtował i fraucymer i pudła na nowo i powrócił do pań, które od zimna i trwogi w saniach dygotały. »Jedźże już ty teraz Jędrzeju na tamtych saniach, bo one sobie same rady nie dadzą«, rzekła ciotunia i ruszyli daléj. — Wiatr zrywał się tymczasem czém raz silniejszy i drogi nie było widać, wielkie sosnowe bory czerniały się z dala.

»Byleśmy tylko las przebyli, to daléj już pół biédy, bo w najgorszym razie zresztą i u państwa Wincentowstwa przenocować możemy«, mówiła ciotunia dodając ducha.

Wjechali w bór, wiatr nadstał niby trochę, ale tak ciemno, że koni przed sobą nie widać. Krakowiak nie znał drogi.

»Trzecia droga, co na p r a w o będzie, w tą jedź, to staniemy niebawem na Węglarkach, a z tamtąd już dwór widać, i pojedziemy za światłem«, mówiła ciocia, i Antek posłuchiwał i pojechał prosto, bo termina, na których się znał, nie opiéwają o prawéj i lewéj ręce, ale »o d s i ę i k'so b i e.«

Jadą, jadą i coś się długo zdaje. Godzina a może i druga minęła, konie pędzą, a drogi nie ubywa, las i las.

»Ciotuniu! my jedziemy w inną stronę«, mówiła Helusia. Droga poczęła się zwężać, śladu nie znać, sanie tłukły się po pniakach, gałęzie drzew biły o pudło.

»Stój!« krzyknął ktoś przed końmi. Konie stanęły i człowiek jakiś stanał przy saniach.

»Mój człowieku! Czy dobrze my tu jedziemy na Węglarki do karczmy Wygody?« zapytała ciocia z trwogą.

Człowiek zajrzał do sani, opatrzył konie i woźnicę, pomruczał coś sobie i rzekł: »Na Węglarki? o źle!«

»Wyprowadźcie nas na drogę, a my wam nagrodzim'« prosiła ciocia.

»Dobrze« rzekł człowiek, targując się nieco, stanął potém na skrzydle od sani i kazał nawrócić na najpierwszéj polanie w lesie. — Po niejakim czasie mignęło się światełko i duch wstąpił w podróżnych: ujrzeli małą karczmę.

»Poczekajcie tu, niech się tylko wódki napiję i zapalę lulkę, bo zimno« rzekł przewodnik i poszedł do karczmy.

»Wołaj Jędrzeja«, mówiła ciotka do Antka, lecz sani z fraucymerem i pudłami nie było.

Po chwili wyszedł przewodnik, a za nim jakiś drugi człowiek; we drzwiach karczmy stanął żyd ze świécą.

Trwoga przejęła Helusię. »Ciociu« szeptała, »to jacyś źli ludzie, oni zabiją nas.«

»Cicho! na miłość boską!« mówiła ciotka.

Przewodnik szedł przy saniach, przodem koni puścił się człowiek, który z karczmy za nim wyszedł. Konie lejcowe stanęły.

»To jakaś paryja! konie tu iść nie chcą!«

»Jedź! kiedy ci każą« huknął groźnie przewodnik. Antek zaciął biczem lejcowe.

»Nawracaj!« krzyknęła Karusia w téj chwili, i stanęła na saniach. Konie rzuciły się w bok, zwróciły wprawdzie w miejscu, ale uciekać było już za późno. Za czwartlowego porwał drab, a drugi dusił Antka na saniach. — Karusia rzuciła się na niego, wyrwała mu z rąk lejce i silnie szarpnęła końmi. — Jak świéca spiął się koń czwartlowy, i urwał léjc przy wędzidle, a nakrył kopytami draba; ciocia wrzeszczała co tchu, konie leciały jak wiatry.

»Trzymaj go Antku! trzymaj, już on teraz nasz« wołała Karusia, a Helenka zakryła sobie oczy, żeby nie widziała, jak ją zabijać będą.

Drab byłby już chętnie popuścił Antka, ale Antek dźwignął się teraz z pod niego i ujął go za włosy obiema garściami. Konie leciały. Karusia trzymała lejce, stojąc w saniach, o drzewo uderzyły w nagłym pędzie sanie, z jękiem oderwał się drab, i garść tylko włosów trzymał długo jeszcze Antek w pięściach nim się opamiętał.

»Pani! konie noszą nas«, rzekł po chwili, i chciał chwycić za lejce.

»Tém lepiéj« wołała Karusia i nie chciała popuścić lejców.

Tymczasem wypadły konie na trakt széroki, las się rozrzadzał i niknął powoli, széroko rozwarło się pole, światła mignęły się z dala.

»Ha! wieś, ludzie!« zawołała Karusia. Konie zwolniały w pędzie, Antek chwycił za lejce, a bez siły padła Karusia na kolana ciotki.

»Boże! Boże! ona zemdlała, ratujcie! jedź, pędź za światłem!« wołała Helena; ciotka nie mogła się ruszyć, ani dobyć tchu, całym ciężarem padła na nią Karusia.

O wrota dworskie torknęły sanie i przed gankiem jakiegoś dworu wstrzymały się konie. Helena wyskoczyła i wpadła do dworu.

»Ratujcie!« wołała, »rozbójnicy! Karusia umiéra! Ratujcie na Boga! Karusia umiéra!«

Na ten krzyk wyskoczyło kilku mężczyzn ze dworu, wyniesiono światła.

»Co? jak? gdzie?« W takim razie łatwo pojąć, o co chodzi. Wysadzono ciotkę z sani, a omdloną zaniesiono do pokoju, i złożono na łóżku.

»Wody! octu!« wołała ciotka. »Czy tu dam nié ma? Niech panowie raczą wyjść, bo ją potrzeba rozsznurować.«

Mało pomagały rozkazy ciotki. Z omdlonéj zdjęto futro, jednéin cięciem noża zwolniono sznurówkę, bryźnięto w oczy wodą, otarto octem; piękna jak anioł boleści leżała zemdlona na łożu, a panowie nie wyszli z pokoju, dopóki nie ujrzeli, że zemdlona poczęła oddychać i do siebie przychodzić. Jeden z nich powrócił jeszcze od drzwi i patrzał długo na nią. »Żyje.... przychodzi do siebie!«... dodał i odszedł.

Karusia otworzyła oczy. »Gdzie jestem?« zapytała ledwo dosłyszanym głosem.

»Z nami, z nami jesteś Karusiu i bezpieczna!« mówiła Helenka, całując ją po rękach i po szyi.

Ciotkę ominął już piérwszy przestrach. Wszystkie trzy siedziały na łożu.

»Gdzieśmy?« zapytała znowu Karusia.

»Moja duszko! my same nie wiémy o tém«, i poczęły się teraz dopiéro rozpatrywać po pokoju.

Pokój był duży, raczéj do sali podobny, część jego wyglądała jak namiot Beduina. Sciany były bogatémi makatami zawieszone, do nich przypiérało nizkie posłanie, niby do rzymskiego łoża, niby do wschodniéj otomany podobne, tyftykiem i haftowanémi poduszkami zarzucone, na ziemi dywany, nad łożem i na całéj ścianie połyskiwały fantastycznie zawieszone myśliwskie przyrządy i bronie, wschodnie zbroje i starożytne bogate rzędy, szable i misiurki. W głowach wisiał stary w złoto oprawny krucyfiks ze słoniowéj kości, jakaś minijatura, na boku dwa obrazy olejne, a niżéj nieco niby na doręczu wisiała karabela, w jaszczur oprawna na rapcie. Jeden z tych obrazów przedstawiał widok gór Swiętokrzyskich w oddaleniu, drugi część jakiegoś ogrodu, a w samym przodzie staw i kilka łabędzi, tuż przy brzegu małe czółenko przypiérało o kępę szuwarów, w niém stała jakaś postać niewieścia, ale z szuwaru wyglądała tylko biała ręka ku łabędziom zwrócona, jeden z nich podsunął się bliżéj i chwytał jakiś żér po wodzie, znać, że go ta ręka karmiła. Słowem mówiąc byłoto w domu Władysława i tego samego wieczora, kiedyśmy przy kominku siedząc słuchali jego. Boleśne wspomnienie całego życia i wypadek tak nagłego najazdu dam przejął go mocno i uderzył na nerwy tak silnie, iż drzał cały.

»Bulionu, herbaty niech dadzą! Księże proboszczu dobrodzieju idź tam, ratuj, przyjmuj, bo my nie ubrani.«

Kiedy ksiądz proboszcz do dam się udał, rozgadał się z nami krakowiak tymczasem, który panie przywiózł i opowiedział wypadek cały.

»Wiesz« rzekł do Władysława odważny Nereusz, »jak ja po wszystkiém uważam, to te draby napadły ich pod twoją granica na Zaborzu; piękna awanturka! spać i tak nie mamy gdzie, bo jużciż paniom potrzeba ustąpić pokoju, a w całym domu zimno. Weźmy broń, każ zaprządz do myśliwskich sani, a ja ci ręczę, że my schwytamy tych drabów jeszcze przed północą.«

»Brawo! dobra myśl!« krzyknęli wszyscy razem. Władysławowi przyszło to w porę, zimna jego krew' powróciła.

»Paniom tym potrzeba nadewszystko spoczynku« rzekł, »chodźmy do oficyny.«

Panią ekonomowę wyprawiono ze służbą do pań, a po chwili zaszły sanie. Władysław gwizdnął na brytany i pusto było znowu w dziedzińcu jak wprzódy.

Ksiądz proboszcz kazał tymczasem dać paniom bulion i herbatę, uspokoił je, polecił ekonomowéj, żeby przy nich została, oddał dobranoc i wyszedł po chwili.

Karusia przyszła już zupełnie do siebie i posadzono ją przy kominku, a ciotce powrócił nawet dobry humor.

»Osobliwy pokój« rzekła, »ani jednego źwierciadła, my wyglądamy pewno jak czupiradła. Helenko! popraw též Karusi strój.« Lekki rumieniec powrócił na jéj twarz, warkocz ciemnych włosów spadał w pół rozpuszczony na ramię, duże błękitne oczy stały jeszcze nieruchome w murze, patrzała przed siebie, oddychała wolno i długo, jak po okropnym śnie.

»Cóż to? tu był bal podobno?« rzekła ciotka. Jakie kandelabry? co świéc?!, bal męzki w sypialnym pokoju; pi! pi! ale to nie żarty, jakie ciężkie kandelabry, to nie dęte śrébro, śrébro, a jaka staroświeczyzna!... Wiécie, że to pokój z gustem ubrany?... i fortepian i kwiaty! ach! jak w Boga wierzę, cztéry róże... a już też, czy dadzą czy nie dadzą, weźmiem' je na wesele do bukietów... Bardzo mi się tu podoba! ale to dom, jak słyszę, kawalerski, to z tego będą historyje, komeraże, ja wam powiadam: straszne komeraże; jeszcze na taki zjazd trafimy jak wesele, będą komeraże straszne, obniosą nas. Jak powróci ta jéjmość, muszę się dowiedzieć, który z tych panów jest tu gospodarzem.«

»Oj ciociu! ciociu! co to będzie«, mówiła Helena. »Ta to naszego Jędrzeja i Majesi nie widać. Rozbójnicy pewno ich zabili!«

Ciocia zapomniała się już pytać o gospodarza domu, kiedy ekonomowa znowu weszła do pokoju. »A pudełka, pudełka!« wołała, »a suknie nasze! a wieniec panny młodéj!... Przepadło wesele, to źle wróży!... co my poczniem'? Trzy dni wesela, a w co się tu ubrać? Ja zostałam w szarafanie, a wy w szlafrokach.«

»Niech panie będą spokojne«, rzekła ekonomowa. »Panowie zabrali broń i siedli na sanie gonić drabów po lesie, to odszukają i zgubę i ludzi, a tu z resztą u nas nie słychać o rozbójnikach.«

»Doprawdy?« zawołała ciotka, »doprawdy? walne chłopcy! bardzo mi się podobają. Otóż to lubię!« i była pewna, że zguba się znajdzie.

* * *

»Ale to miecie! Niechže go piorun trzaśnie!« wołał Nereusz siedzący na myśliwskich saniach, kiedy w las wjechali. Przodem na siwku czesał Władysław, obok niego leciały brytany. Brytany poczęły ujadać.

»Stój! Kto tam?« odwiedziono kurki, Nereusz wyskoczył z sani.

»To nic« rzekł Władysław podjéżdzając ku saniom, »To diabli z balu niosą Dykasińską.« I popędzili w las.

»Stójcie!« krzyknął znowu po niejakim czasie Władysław i z-siadł z konia. »Brytany wietrzą tu coś, pono krew', bo tyran ujada okrutnie.«

Tyran wył i grzebał śniég. Sanie stanęły, z odwiedzionémi kurkami szliśmy trop w trop, buchając się po śniegu i błądząc po lesie. Światło mignęło się z-dala. »To Zaborówka świéci się, widzę«, zawołał Władysław, a brytany poczęły ujadać coraz strasznéj, jak gdyby coś wzięły na oko... Drzwi skrzypnęły od karczmy i zawarły się znowu nagle, a Władysław rzekł zaglądając przez okno: »Już mamy ich!«

Do izby wskoczył piérwszy Nereusz. Słychać było jakiś krzyk kobiécy i jęki boleśne, świéca zgasła i wszystko ucichło. Po chwili błysnął ogień w kominie i pomiotłą słomy przyświécił Nereusz dokoła. »A miłe towarzystwo!« zawołał. Jęcząc pod stołem leżał jakiś obdarty człowiek we krwi, drugi ciężko oddychając na ławie pod piecem; jakaś panna padła w mdłości na ziemię, przy niéj siedziało coś w kłębek zwiniętego, o ścianę oparty stał jakiś pijak w barwie, a w końcu drżał żyd jak śmierć blady.

Wkrótce wyjaśniła się rzecz cała: Za śladem piérwszych sani kazał jechać Jędrzéj i przybył do karczmy, kiedy się już obadwa draby zwlekli byli do żyda po niepomyślnéj wyprawie; jeden o sosnę rozbity, a dugi stratowany końmi. Kiedy do karczmy wstąpił Jędrzéj dla powzięcia języka, zastał obudwu drabów we krwi i pytał: cobyto było? Żyd tłumaczył tę rzecz mówiąc: że ich rozbójnicy w lesie napadli i pobili. Majeska chciała jechać daléj, ale Jędrzéj zajechał do karczmy, rozłożył się na nocleg i począł napijać. Ocucono Majesię, która rozumiała, że karczmę rozbójnicy naszli, potém związano żyda i drabów, pijanego Jędrzeja rzucono do myśliwskich sani, przodem wysłano na siwku raźnego chłopaka, żeby dał znać o wszystkiém do dworu, a potém napiwszy się wódki, zabrawszy Majeskę z całym taborem, wracano do domu.

Coto była za radość Helenki, kiedy Majesię ujrzała! Co za pociecha ciotki, że nic nie zginęło! Panowie rozgościli się w oficynach w pomieszkaniu ekonoma, jak to mówią: pokotem,

pokotem, więc też nie było kłopotem. Strudzeni usnęli wszyscy po tak burzliwéj nocy, ale i we dworze i w oficynach nie pogasły światła.

* * *

Ciężką miałem głowę, kiedym się z-rana przebudził, był już dzień duży. Obok mnie siedział blady i drżący Władysław.

»Co ci to?«

»Przeziębiłem się w nocy, lekko byłem ubrany na koniu i mam dreszcz wielką. Idź do dworu, proszę cię« mówił daléj do mnie, »bo ja jestem słaby i nie mogę się zająć przyjęciem tych pań.«

Zastąpiłem go. Helenka byłato miłe dziécię, Karusia piękna jak anioł, a ciotka byłato wymowna ciotunia... Po śniadaniu zajechały sanie, ciotka przymówiła mi się o róże i była bardzo ucieszoną słysząc, że i my na to wesele jedziemy. Na wpół rozwiniętą różę dałem Helence, dwie należycie rozwinięte dałem ciotce do bukietu, a prześliczną bladą Theę z pączkiem podałem Karusi, bo była do niéj podobna. Około południa było pusto we dworze, bo i całe towarzystwo mężczyzn puściło się za paniami na wesele, ja zostałem tylko przy Władysławie, bom był niespokojny o niego. Z południa przeszedł Władysław do dworu, kazał spuścić zielone zasłony u okien i rzucił się na sofę. Ponuro świéciła się kłoda bukowa na kominie.

»Tyś chory Władysławie?«

»Chcę umrzéć!« rzekł z boleścią.

»Co ci?«

»Albož nie widziałeś jéj? To moja Julija! co za anioł! a teň anioł zdradził!... Kiedym ją trzymał omdlonę, zdało mi się, żem kołysał raj na mym ręku! jaka cudowna! Teraz dopiéro jest taką, jaką mi się niegdyś we snach zjawiała.«

»To Julija?« zapytałem i sądziłem, że Władysław wpadł w gorączkę i że ma widzenie. Patrzyłem mu w oczy z obawą. »To Julija, wszakże ją wszystkie tamte panie Karusią nazywały?«

»Tak, bo jest żoną Karola!....« Zerwał się nagle i rzucił się znowu na łoże i wił się jak wąż, jak gdyby mu trucizna wnętrzności przeżarła. Na łożu znalazł chustkę z napisem: Julija, i cała była jeszcze od łez przesiąkła, pod cyratą na stole Władysława leżała mała kartka, a na niéj stały te słowa: »Julciu! jak my odjedziem, to ty zapomnisz o nas!«

»O nigdy! nigdy w mém życiu!« Obok leżał pierścionek babki Władysława, który owego wieczora włożył na rękę Julii.

»Oddała mi mój pierścionek!«

Stan jego był okropny!

»Sprawdziły się prorocze słowa mego spowiednika; ona kocha mię jeszcze! ona nie jest szczęśliwą!« i płakał jak dziécię... »W nocy widziałem ją przez okno, nie spała i płakała długo. Wszystko ma tu teraz po niéj życie w tym domu na wiek cały, tylko mnie zabiła!«

* * *

Muzyka brzmiała wesoło, lekko płynęły różne pary w świetle; było już około północy, kiedym wstąpił na salę blaskiem tylu świéc oćmiony. Radość weselna malowała się na wszystkich twarzach, oczy moje szukały Julii. W kole tańcujących nie było jéj. Po godzinie prawie dopiéro znalazłem ją na drugim końcu domu w odległym pokoju. Duże dwie lampy płonęły na stole, na taborecie stało piękne dziécię i patrzyło uważnie w oczy Julii, a ona prawiła mu coś z-cicha. Cała jéj postawa była cudowna, znać było po téj duszy, że się w bezsennych nocach i na dnie boleści we łzach skąpała, a potém znowu spokojnie w oczach wypłynęła jak gwiazda miłości. Ręka jéj była przeźroczysta prawie, na twarzy miała lekki tylko rumieniec, a jednak była tak świéżą, jak to dziécię przed nią stojące. Zaledwo mogłem wierzyć, że to od owéj Julii, co z łabędziami na wyścigi pływała, do dzisiejszéj Julii siedm już lat upłynęło... Kiedy mię ujrzała, spłonęła jéj twarz żywym rumieńcem.

»Nam mówiono« rzekła nagle, »że pan przy chorym zostałeś. Żałujemy bardzo, żeśmy mu nie mogły nawet za gościnność podziękować.«

»Dla takiego chorego nié ma lékarstwa«, rzekłem z przyciskiem ponuro.

»Jak to?« i zbladła — »czy jest w niebezpieczeństwie?«

»Dla człowieka, który żyje bez nadziei, nié ma niebezpieczeństwa!«

Nie pytała mnie daléj i odeszła nagle.

»To ty znasz ją?« zapytał mnie jeden ze znajomych, który na to nadszedł.

»Widziałem, ale ją nie znam.«

»Wiész, zakochałem się w niéj szalenie, i jeźli z nią przez te trzy dni zabawię, to zwaryjuję.«

»Jakże się nazywa?« zapytałem.

»Panna Julija S***.«

»Jakto? panną jest jeszcze?«

»A panną—miała jakąś ciotkę, jak mi mówią w Sandomiérskiém, a od czasu jéj śmierci przyjechała tu z królestwa, i bawi w domu hrabiny. Szkoda, że nié ma majątku.«

»Ale przecież ją nazywają Karusią nie Juliją?«

»Wiém już o tém wszystkiém, a wiész dla czego?... Bo ma śpiéwać ślicznie jakąś włoską pieśń, która się zaczyna: *Mia cara,* czy jakoś tam, otóż nazwali ją Karusią.«

Brawo! pomyśliłem sobie, i kogom tylko zapytał, każdy mówił mi to samo. Jakież było moje zadziwienie, kiedy wróciwszy do sali ujrzałem wchodzącego Władysława, nie mógł się doczekać mojego powrotu. »Raz zobaczę ją jeszcze, a potém...«

Chwyciłem go za rękę: »Julija jest wolną! Julija jest twoją!« — Resztę dopowiedzcie sobie sami.

* * *

W rok prawie późniéj od owego wesela, byłem znowu w domu Władysława. Kiedym wieczorem dojeżdżał do domu, ujrzałem już z daleka światło w oknach; nie byłto już więcéj ów dwór opuszczony. Przed ganek wyszedł naprzeciw Marcin ze światłem, a kiedym do pokoju Władysława wstąpił, siedziała Julija w jego wielkiém krześle i trzymała dziécię na ręku, on stał przed nią i patrzał na nią z uśmiéchem; na kominku palił się ogień, jak gdyby od owego czasu nie był wygasł jeszcze. Oboje powitali mnie z żywą radością, szczęśliwi, że świadka szczęścia swojego mieć mogli. Przyniesiono herbatę i podano lulki.

»Mój drogi drużbo! nie kochasz nas«, mówił Władysław. »Jakże można, rok prawie nie widziałem cię.«

»Sprawdzają się na nas te słowa« rzekłem:

»Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę.« Lubom był drużbą na weselu Władysława, nie było wówczas czasu, wypytywać się o szczegóły ich przeszłości, i wypadki, których sobie wytłumaczyć nie umiałem. Teraz dopiéro w poufałéj rozmowie wpadliśmy na to.

»Jakże to stać się mogło?« pytałem Juliją, że Karola deklaracyja została przyjętą?«

»Ciotka odpowiedziała za mnie i bez wiedzy mojéj przyrzekła mu moję rękę. Ze mną nie mówił Karol nigdy nawet o tém, bo w istocie nie miał on zamiaru żenienia się ze inną. Ciotce jego chodziło tutaj o to jedynie, żeby się Władysław o tém dowiedział, że jestem po deklaracyi z Karolem, i żeby mną pogardził, jak się w istocie stało, a Karol miał po téj sprawie wracać do Warszawy, jak w istocie powrócił. Tak oszukano jenerała, Władysława i ciotkę moję. Władysław był już od pół roku w wojsku, kiedym się o śmierci matki jego dowiedziała.«

»Dla czegoż nie zbliżyliście się potém do siebie? Jeźli Władysław rozumiał, żeś pani za mąż poszła, to jużciż stosunki pani z Leonem nie ustały przecież, a Leon wiedział, że się Karol nie ożenił z panią.«

»Leon dowiedział się o wszystkiém z boku jeszcze w Petersburgu, gdzie się zjechał z Karolem i dał mu nawet nauczkę, którą do śmierci popamięta; ale właśnie ten pojedynek zniweczył dyplomatyczną karyjerę Leona, a kiedy się w Warszawie dowiedział, że Władysław jest w wojsku, wstąpił także do wojska. Kiedy się w szkole znowu z sobą zeszli, nie mówili z sobą nigdy o przeszłości, która nie dawała pociechy. I cóż byłoby pomogło, gdyby Władysław był nawet wiedział o tém, żem go kochała jak dawniéj, że jestem wolną; cierpienie jego byłoby większe: on był podchorążym, a ja nie miałem majątku, a tak obwiniając mnie w sercu mógł się prędzéj uléczyć.«

»I Leon zaniósł tajemnicę do grobu? To dziwna rzecz! on był powinien uniewinnić siostrę, kiedy czuł, że umiéra; wszakże prócz niego i Władysława nie miałaś pani nikogo?«

»Skonał na mym ręku!« rzekł smutno Władysław, »silił się, chciał coś mówić, zdało mi się nawet, że wyrzekł coś o Julii, lecz wrzawa, pomieszanie moje, rozpacz — za późno już było — raz był ciężki, skończył szczęśliwie bo nagle.«

»Dla czegoże nie zgłaszałeś się nigdy do twojego stryja, po którym ten majątek wziąłeś?« zapytałem go po chwili.

»Stryj mój byłto dziwak, domator i stary kawaler. Nie lubił matki mojéj, lubo jéj nigdy nie widział w życiu. Ojciec mój, który się długo jego pieniądzmi zasilał, wmówił w niego, że matka moja jest przyczyną ruiny majątku, że traci, że podróżuje, léczy się wiecznie i t. p. Ze starych listów, które tu znalazłem w kantorku mego stryja, dowiedziałem się o tém, ztąd też, kiedy po śmierci ojca mego napisał jenerał M***, że żyć nie mamy z czego, wyznaczył nam tylko małą pensyję. I jak pisał, czynił on to jedynie dla imienia, żeby ktoś z jego rodziny po żebrach nie chodził. Znalazłem tu także listy jenerała. Kiedy stryjowi memu doniósł, żem wstąpił do biura księcia ministra i że potrzebuję teraz większego dochodu, żeby się w świecie pokazać; odpisał mu stryj: »Żaden z mojéj rodziny nie siedział jeszcze z piórem za uchem, więc też nie podam i ja ręki do tego. Kiedyś wpan jest jenerałem, toś powinien młódź szlachetną zaprawiać do szabli i konia, a nie do inkaustu.« Kiedy mu doniósł jenerał M***, żem został podchorążym, odpisał mu: »Ja o żadnych podchorążych nie słyszałem, tylko o chorążych, jak Władysław zostanie chorążym, to niech się zgłosi do mnie, a dam mu konia, 1000 dukatów i kupię rangę rotmistrza.«

* * *

Od owego wieczora upłynęło znowu lat kilka i sprawdzają się znowu na nas kochany Władysławie te słowa: »Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę.« — Jeżeli te karty wpadną w wasze ręce, wspomnijcie mile o starym przyjacielu. Leonka małego ściskam, a panią Juliję proszę, żeby nigdy nie śpiéwała owéj pieśni: »*Mia cara*«, która nam tyle niespokoju narobiła, lepiéj niech zaśpiéwa i na moję pamiątkę piosnkę, któréj ją Leon niegdyś nauczył: »Siałem proso na zagonie, nie mógłem go z-żąć. ***.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 31. i obejmuje: 1) O korzyściach wynikających z poprawności roślin, w ziemiaństwie uprawianych. 2) Konopna pilśń służąca do pokrycia dachów. 3) Tylko cienka i obficie zebrana wełna daje w hodowli owiec zysk prawdziwy. 4) Wiadomości czasowe. 5) Nekrolog.

Ner. 15. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujace artykuły: 1) Nie przesadzajmy. 2) Wspomnienia Semenowych powieści. (Ciąg dalszy.) 3) Nieco o Francyi. (Dokończenie).

W drukarni Piotra Pillera wyszły *Bajki i wiersze różne* Józefa Kalasantego Fajgerta. Tomik drugi (st. 163.) Zachowujemy sobie w przyszłym numerze pomówić więcéj o tém dziełku. — Tamże opuścił prasę *Skorowidz należytości stęplowych* i t. d. alfabetycznie ułożony przez D*; nakład Ludw. Zielińskiego (st. 114.)

Témi dniami w tutejszéj drukarni stauropigijańskiej opuściło prasę dziełko Rudolfa Mecha, w narzeczu rusko-halickiém pod tytułem: *Motyl*. Są to drobne poezyje, w których spostrzegać się daje talent i dar poetyczny autora. Dziełko to obejmujące 39 stronic, drukowane jest pisownią starodawną cyrylską. — W Wiédniu zaś w témże narzeczu wyszły u Mechitarystów przysłowia i przypowiastki ludu halicko-ruskiego pod tytułem: *Halickij prypowidky i zahadky*, zebrane przez Hrehora Ilkiewicza. — Zalecamy oba te dziełka miłośnikom literatury sławiańskiej.

W Nrze 28. *Orędownika naukowego*, wydawanego w Poznaniu z wielką oględnością i znajomością rzeczy przez pp. A. Poplińskiego i J. Łukaszewicza, czytamy, że jeden z literatów galicyjskich kończy właśnie dzieło pod tytułem: *Szymon Brzeski*, w sposobie *Pana Podstolego* i *Podstolica*, a w którém skreślił wielce zajmujący obraz teraźniejszego ziemianina. Wiedzieliśmy już dawno o tém piśmiennictwu naszemu zaszczyt rokującém dziele, znamy je z wyjątków, lecz milczeliśmy o niém, nie chcąc uprzedzać publiczności. Teraz zaś, gdy dzieło to szanownego autora już w zagraniczném piśmie rozgłoszone, zwrócić na nie uwagę czytelników za obowiązek sobie poczytujemy, z tém najszczerszém życzeniem, by jak najprędzej wyszło na widok publiczny. — *S. J.*

Felicyjan Abdon Wolski, będący nauczycielem języków nowoczesnych przy szkole wyższéj w Glasgowie (w Anglii), ogłosił prospekt na pismo czasowe *Miesięcznik*, poświęcone moralności, naukom, użytkowi i rozrywce.

Wiadome jest zdanie Archimedesa: iżby ziemię podniósł z jéj węgłów, gdyby mu stały punkt oparcia się zewnątrz niéj dano. Gdyby więc Archimedes wynalazł był ten punkt oparcia się, tę dźwignię do uskuteczuienia zamiaru tego, i gdyby z pospiechem kuli działowéj, — 480 angielskich mil w jednéj godzinie — ziemię mógł dźwignąć, byłby ją jednakże dopiéro za 44,963,540,000,000 lat tylko na jeden cal do góry podniósł.

Pan Guerin w Paryżu zrobił dla muzycznego kunsztu bardzo ważny wynalazek. Pod klawiszami fortepijanu znajdujący się mechanizm, którego prawie dostrzédz nie można, drukuje w okamgnieniu to, co się gra na fortepijanie, przezco kompozytorom żadna myśl nie zaginie. Jestto muzyczna stenografija, która pożyteczne skutki wydać może.

Wielka procesyja złożona z półczwarta sta mieszkańców Mnichowa, ruszyła z tamtąd dnia 4go lipca do Altötting, miejsca słynnego cudami w Bawaryi, a dnia 8go lipca wróciła do domu. Przy odejściu dano jéj straż z tysiąca ludzi złożoną, a za powrotem pielgrzymów wyszła naprzeciw nich połowa miasta Mnichowa. Procesyja ta nie doznała nigdzie żadnéj przeszkody, a przychodniów w Altötting przyjmowali jak najuroczyściéj wysłani tamże już od miesiąca maja księża Redemptoryści. Odnowienie tych nabożnych pielgrzymek w stolicy bawarskiéj przynależy towarzystwu pielgrzymów, które tamże od dwóch lat pod opieką Świętéj *Filomeny* się zawiązało.

Religijność w Paryżu. Prawa, szczéra, wzniosła, światła religijność jestto ciepłik życia, bez którego równie jak bez prawdziwéj tolerancyi, ani państwo, ani naród na czas długi ostść się nie może. Lecz jak indyferentyzm nie jest tolerancyją, tak téż pietyzm i obskurantyzm nie jest religijnością, a igraszka i kokieteryja z świętością jest niemniéj bezbożną jak jéj pogarda. W najnowszym czasie zaczęto wiele rozprawiać o upowszechnianiu się religijności w Paryżu, i temu zjawieniu przypisywano taką ważność, jakąby istotnie mieć mogło, gdyby niczém więcéj nie było jak tylko modą. Ale niestety! rzecz ta ma się inaczéj, religijność wzmaga się wprawdzie w Paryżu, lecz tylko powierzchownie; a kto głębiéj wejrzy, ten spostrzeże, iż Paryżanie więcéj kościelnym pokostem, niż prawą religijnością są przesiąknieni. »Prawda«, pisze w téj mierze jeden z korespondentów, »że podczas wielkich uroczystości religijnych paryskie kościoły powiększéj części są przepełnione, i że nacisk ludu mianowicie w modnym kościele *Saint Roche*, podobnież jak i w *Notre Dame de Lorette* jest znaczny. Atoli w obudwu tych kościołach nie szczędzą żadnych nakładów, aby nabożeństwo dla nas ile możności powabném uczynić. Prawdziwie pogański przepych jest tu przeznaczony do działania na zmysły. O sercu mało pomyślano. Nie zbywa tu na kwiatach, kadzidle, obrazach, pozłacanych ozdobach, świątecznéj muzyce, męzkich chórach, na popisujących się głosach i na opłacanych doniesieniach w dziennikach publicznych. Ciekawość zwabia wielki tłum ludu. Drogo się płaci za najęcie krzesła. Rzecz naturalna, że wielka ciżba rozgłasza sławę kościoła, a za sławą idzie moda. Nie jestto więc miejsce cichego, szczérego nabożeństwa świętego, ale jestto stek powierzchownych środków podrażniających, przepychu i blichtru, natłok toalet wytwornych, a o wzniosłém nabożeństwie ani myśléć. Gwardziści municypalni otaczają bramy kościoła dla odparcia natłoku, po wszystkich przysionkach chodzą straże dla utrzymywania porządku, a że w kościele Śgo Rocha oprócz tego tylko jedna suma w takiéj godzinie się odprawia, w któréj żadne inne przedmioty nie zwabiają do siebie masy ciekawych, przeto lud idzie bardziéj dla zaspokojenia swoich zmysłów niżli dla religijnego uczucia. Uwagi te są smutne, ale prawdziwe, a ktoby przez czarodziejskie szkło wejrzéć mógł w duszę zgromadzonych

tamże Chrześcijan, ujrzałby mało nabożeństwa, a wiele świeckiego. W kościele *Notre Dame de Lorette* jest prawie zawsze wielki natłok, prawie wszystkie znane artystki wielkich i małych teatrów paryskich mają tam swoje krzesła, nawet tancerki z baletu. Cała dzielnica *Montmartre* uczęszcza do tego kościoła, który raczéj do ozdobnego salonu niż do świątyni pańskiej jest podobny.«

Nauka Galla o kranioskopii liczy wiele zwolenników w Szkocyi. W Edynburgu zawiązało się towarzystwo kraniologii, które co tygodnia dwa razy się zgromadza i macając czaszki młodych osób, wszystkie celniejsze organy wymienia i rozpoznaje. Ostatnią razą przyprowadzono małą niemal ośmio-letnią dziewczynę, a z rozpoznania jéj głowy pokazało się, że u niej zdatność do muzyki jest celującą. Towarzystwo oddało ją do stosownego nauczyciela, a po kilku lekcyjach pokazało się, że uczennica na fortepianie i w śpiewie wielkie postępy uczyniła, mogła odśpiéwać każdy, choćby najtrudniejszy, byle tylko do jéj głosu zastosowany utwór muzyczny, skoro jéj kilkakrotnie takowy wprzód prześpiéwano. Dziewczyna ta nazwiskiem Vinner ma tak nadzwyczajną pamięć muzykalną, że jest za cudo uważana, i naukę kranioskopii w najwyższym stopniu potwierdza. Tak i sławny Rossyni nie przyjmie żadnego ucznia do swojéj szkoły śpiewu, pokąd na czaszce jego pewnéj wypukłości jako uzdolnienia do muzyki nie znajdzie. Rossyni, tylekrotnie o skąpstwo posądzany, daje bezpłatnie wielu ubogim dzieciom lekcyje śpiéwu.

Stare miasto Londynu City. Z powodu odbywających się niedawno wyborów w Anglii, korespondent jednego z dzienników paryskich skreślił krótko ale trafnie stare miasto Londynu w sposób następujący: »City« mówi tenże, »w pośród tego uprzywilejowanego kraju, jest trwałym nieustającym przywilejem; zowie się »miastem«; budżet jego jest budżetem państwa drugiego rzędu; lord-major ma atrybuta królewskie, przestrzeń jego ciasna, zamknięta, i że tak rzekę na wskróś przedziurawiona uliczkami, które na wszystkie strony się rozbiegają, zawiéra bogactwa, które zbiorem swym przestraszają. W składach jego *(doks)* nagromadzone są wszelkie płody natury i przemysłu, wszelkie skarby morza i stałego lądu. Przeszło dwa tysiące okrętów przebywa na wodach, które do niego należą; przeszło 1500 statków parowych przerzyna dniem i nocą szeroką przestrzeń jego okręgu; sama nawet Tamiza zacząwszy od Stalenu aż do Gravesendu, jest własnością starego miasta Londynu City. W niém się koncentrują za pomocą banku sprawy giełdy kupieckiéj i ruch kredytu; za pomocą poczty, utrzymuje to miasto związek z wszystkiemi stałemi lądami, a za pomocą Lloydu otrzymuje dokładną wiadomość o wszystkiém, co na niezmiernéj przestrzeni Oceanu się dzieje; a że obok potęgi zawsze także trwoga mieścić się musi, dla tego w środkowym punkcie swoim zawiéra sąd assysów z Old-Bajley, a tuż przy nich straszne więzienie Newgata.«

Zaślubienie Wenery medycejskiéj. Wiadomo, że palec u prawej ręki Wenery medycejskiéj dorobił artysta późniejszych czasów. Dziennik *Giornale enciclopedico* opowiada w téj mierze następujący zabawny wypadek: Za czasów Kosmusa III. przyjechał bogaty lord Orsory do Florencyi. Piękna ta bogini wzbudziła w nim tak wielkie zadziwienie i oraz tak wielką chęć nabycia jéj, iż dawał wielkiemu księciu sto tysięcy funtów szterlingów, jeżeliby mu ją odstąpił. Przyrzekł, że tę summę w przeciągu dwóch miesięcy zapłaci, i zamyślił z Londynu sprowadzić okręt, by tę boginię mógł uwieść. Wielki książę roześmiał się na ten wniosek nie dawszy żadnéj odpowiedzi, kazał jednak zanotować nazwisko lorda i całą rzecz za żart poczytał. Zdarzyło się, że wielki książę zaprosił raz lorda do siebie. Z wielkiém upodobaniem spostrzegł Kosmus na jego palcu bardzo piękny krwawnik, na którym Kupido był wyrznięty. Lord sądził, że się wielkiemu księciu przysłuży, dając mu ten pierścień w podarunku; ale książę nie przyjął daru. Poczém Orsory prosił wielkiego księcia, aby mógł zaślubić się z boginią, na co Kosmus chętnie zezwolił. Jakoż w saméj rzeczy odbyło się zaślubienie z wszelką uroczystością, a lord włożył bogini ten kosztowny pierścień na palec, i odtąd widziano go przez lat wiele na palcu Wenery. Pewien znakomity cudzoziemiec, uznał tę ozdobę za tak nieprzyzwoitą na palcu tego mistrzowskiego dzieła, że ją zdjąć pokryjomu zamyślił; jednakże w tém przedsięwzięciu przeszkody doznał i w pośpiechu palec odłamał. Prawda, że sprawcę późniéj odkryto, lecz na nieszczęście palec zginął, choć pierścień odebrano. Pierścień ten pokazują jeszcze po-dziś dzień we Florencyi w gabinecie kamieni drogich, gdzie już dla bezpieczeństwa na złotym łańcuszku jest zawieszony.

Dobroczynność młodéj królowéj. W dzienniku madryckim: *El Correo National* z dnia 15. czerwca czytamy: »Królowa Izabela i dostojna jéj siostra przejeżdżały się niedawno po ulicy Karavanchelu. Królowa rozdawała po drodze wszystkim ubogim tak hojnie jałmużnę, iż jéj pieniędzy zabrakło. Téjże saméj chwili zbliżyła się do powozu młoda uboga dziéwczyna, która podobnież o datek ją prosiła. Królowa dobywa sakiewki, ale spostrzegłszy, że próżna, zdejmuje z nóg trzewiki i rzuca je młodéj żebraczce. Gdy margrabina Santa Crux zapytała królowę, dla czego pozbawia się obuwia, odrzekła ta monarchini: »Nie bierz mi tego za złe margrabino, biedna dziewczyna prosiła o jałmużnę, a ja nie mając już ani jednego *marawedi* w sakiewce, rzuciłam jéj trzewiki, na których mi nic zbywa, a dla niéj przydać się mogą.«

Laseczki barmesydowe. Trajedyja La Harpa: »*Barmesydowie*« nie podobała się na *Théâtre-Français* w Paryżu. Wkrótce po tym nieprzyjemnym wypadku, poszedł autor z żoną pomiędzy sklepy na przechadzkę. Jeden z kupców ozwał się do nich ze sklepu: »Kupcie państwo piękne laseczki barmesydowe, są one bardzo tanie, i podług najnowszej mody.« — Pani La Harpe sądziła, że publiczna opinija wynagradza jéj małżonka, za niesłuszną krytykę. »Widzisz« rzekła do męża, »kupcy biorą w pomoc twą trajedyję, dla zbycia swych towarów.« Szczęśliwe małżeństwo zbliżyło się z ukontentowaniem do sklepu, a pani La Harpe zapytała, co kosztuje laseczka, gdyż w owym czasie i damy laseczki nosiły. — »Dwanaście sous«, odrzekł kupiec. — »A dla czegoż wpan dałeś im Barmesydów nazwisko?«—»Chciej pani tylko pocisnąć sprężynkę, a odbierzesz odpowiedź.« —Pani La Harpe pocisnęła, i wraz dało się słyszeć nieprzyjemne gwizdnienie. »Co za szkaradny przymiot téj laseczki!« To rzekłszy cisnęła nią o ziemię. A pan La Harpe zażywszy tabaki rzekł: »Pójdźmy moje serce na czyściejsze powietrze.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.